

Dlaczego (nie) rozmawiamy [EDYTORIAL]

Łatwe i niesprawiedliwe byłoby utyskiwanie na jakość dyskusji o kulturze. Błędne analogie i fałszywe zestawienia nie pomagają. Tymczasem w relacji Stanisława Fijałkowskiego – któremu poświęcamy sporą część tego numeru w miejsce zwyczajowego tematu! – z Władysławem Strzemińskim wybija się na pierwszy plan jednoczesny szacunek i potrzeba prowadzenia dialogu, konieczność wypowiedzenia siebie, ale bez odbierania wielkości nauczycielowi. Nie próbuję idealizować, zastanawiam się nad samą umiejętnością prowadzenia sporu i miejscami dla niego. Emocjonalna wymiana zdań M. z R. sprzed dwóch miesięcy wokół tego, co M. gdzieś napisał o jednej z łódzkich instytucji świetnie pokazał, że facebookowe potyczki z winy samego medium nie służą zrozumieniu cudzych argumentów, a publiczny charakter wpisów przede wszystkim mimowolnie kreuje nasze cyfrowe alter-ego – inne od nas rzeczywistych. W kulturze, która powinna być przestrzenią prowadzenia wielu równoległych dyskursów, działa to tak samo jak w innych sferach – „moje” ma zatryumfować nad tym „innym”.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać? Pytam bez pretensji do szerszych kategorii. Myślę o rozmowie, którą prowadzić mogą między sobą związani z różnymi tytułami publicyści i dziennikarze kulturalni, freelancerzy, twórcy, szeroko rozumiani uczestnicy sfery publicznej. Wiadomo, z prasą kulturalną, zwłaszcza tą „szybkiego reagowania”, codzienną jest źle, i kropka. Może będzie to naruszenie tabu, ale kiedy zdecydowano, że lokalne redakcje nie podejmują ze sobą dyskusji? W pierwszej dekadzie tego wieku, czy, jak słyszę od starszych stażem, jeszcze w latach 90? Wystarczy zajrzeć jeszcze do numerów „Odgłosów” z lat 80. i 90., by przekonać się, jak wygląda ożywiona wymiana opinii. Cóż, winzować. Strzału w kolano. Najgorzej, że „pakt” objął działy i redakcje kulturalne. Wzajemne niezauważanie siebie nie uczyniło nikogo silniejszym. Przeciwnie. Wzmocniono za to mechanizm znany z ramówek radiowych: w powtarzanej parę razy dziennie serwisie informacyjnym zawsze znajdzie się miejsce dla sportowca, który sentencjonalnie wyduka: „daliśmy z siebie wszystko, a teraz musimy to przemyśleć”, ale nie dla recenzenta teatralnego, krytyka sztuki czy pisarza. Tak się wyrabia nawyki. I tak się wskazuje na wagę spraw. Jeśli nie jest ważne, co napisała o premierze „konkurencyjna” gazeta, nie jest bardziej ważne, co piszemy sami. Jak z innego świata są publikowane i u nas felietony Zdzisława Jaskuły, w których z przekąsem odnosił się do zawartości niektórych wydań np. łódzkiej „Gazety Wyborczej” (w której, nota bene, też w pewnym czasie publikował). Dziś tematyka kulturalna pojawia się, owszem, lecz w niektórych tytułach nie jest już sam w sobie celem. Tymczasem w kulturze właśnie na poziomie lokalnym w pandemii wydarza się to, co najistotniejsze.

Piszę to i łapię się, że niedługo minie 10 lat od kiedy kapituła Nagrody Złotego Pióra im. Jerzego Katarasińskiego (jednego z pierwszych naczelnych „K”) i mnie wybrała „młodym redaktorem sezonu”. Kapituła rozwiązana niedawno właśnie powodu niedoboru nominowanych. Kogoś to zaalarmowało? Wzmocniono któreś z łódzkich pism kulturalnych? Łódzkie uczelnie wypuszczają tymczasem rokrocznie potencjalnych laureatów takich nagród, ale ci odpływają do innych ośrodków. Powołany przez uczelnie przy naszym magazynie półrocznik „Kalejdoskop Kultury” ma m.in. zatrzymać ich tutaj, a synergia z „Kalejdoskopem” – dać niespotykaną platformę do prezentowania ich możliwości (więcej na str. 11). Luki nie wypełnimy, ale podchodzimy do sprawy od drugiej strony – czekając na kolejną zmianę w tej dziedzinie, którą pewnie niedługo wywoła technologia. Oby korzystną.

Łukasz Kaczyński, redaktor naczelny "K"

